

Walter J. Ong

Przekształcanie się środków przekazu : mówiona książka

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 81/1, 319-327

1990

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WALTER J. ONG

PRZEKSZTAŁCANIE SIĘ ŚRODKÓW PRZEKAZU: MÓWIONA KSIĄŻKA

Kiedy mówimy obecnie o środkach przekazu, stale powraca jedno pytanie: czy nowe środki przekazu znoszą dawne? Albo, mówiąc konkretniej, czy telewizja zniosła książki? Nikt w miarę przytomny, widząc księgarnie i obserwując nawyki osób ze swego otoczenia, nie mógłby sądzić, że książki zniknęły; interesujące staje się zatem samo zadawanie tego pytania. Najwyraźniej niepokoi coś innego niż fakty. Ma się poczucie, że telewizja i elektronika w ogóle muszą coś powodować. Cóż więc takiego powodują?

Na to pytanie padają często dwie różne, a nawet skrajnie przeciwstawne odpowiedzi. Jedna głosi, że elektronika znosi książki i w ogóle druk, czy się nam to podoba, czy nie. Druga brzmi, że książki to książki i że przetrwają na zawsze — lub, w nieco innej odmianie — że książki to książki i lepiej pomóżmy im przetrwać, pozostać takimi, jakimi są, bo nie potrafimy bez nich żyć (mimo iż nasi przodkowie żyli bez jakiegokolwiek piśmiennictwa przez dziesiątki tysięcy lat — przez cały czas istnienia gatunku ludzkiego, z wyjątkiem ostatnich sześciu tysięcy lat).

Każda bardziej przemyślana odpowiedź, w której bierze się pod uwagę fakty historii i działalności technicznej, będzie wszakże musiała być bardziej złożona. Analiza tego, co zachodziło w minionym rozwoju komunikacji werbalnej, i tego, co zachodzi w niej obecnie, wskazuje na działanie pewnych paradoksalnych praw. Nowy środek komunikacji werbalnej nie tylko nie znosi dawnych, lecz w istocie je ugruntowuje. Zarazem jednak przekształca te dawne środki przekazu, tak że nie są już one tym, czym były przedtem. W odniesieniu do książek oznacza to, że w dającej się przewidzieć przyszłości będzie ich więcej niż kiedy-

[Walter J. Ong, amerykański teoretyk i historyk literatury, jezuita, profesor St. Louis University. Opublikował kilkanaście książek, m.in. *Ramus, Method and Decay of Dialogue* (1958), *Orality and Literacy* (1983).

Przekład według: W. J. Ong, *Interfaces of the Word*. Cornell University Press, 1977, rozdz. 3, *Media Transformation: The Talked Book*, s. 82—91.]

kolwiek przedtem, ale nie będą już tym, czym były dotąd. Jeśli myślimy, że książki dzisiaj działają jeszcze w taki sposób, w jaki działały dla Arystotelesa, św. Tomasza z Akwinu, Chaucera, Milтона, czy Sir Arthura Quiller-Coucha, tracimy kontakt z rzeczywistością.

Już teraz bowiem wytwarzamy książki, które nie są przez nikogo napisane. Są to książki mówione. Oczywiście mieliśmy mówione książki również i dawniej. Ustne eposy, które w przeszłości zostały jakoś utrwalone w piśmie, nie są książkami przez kogoś napisanymi — są to zapisy czegoś, co ktoś mówił lub śpiewał. Nasze mówione książki funkcjonują wszakże odmiennie; są nakładaniem się na siebie lub przenikaniem się ustnego przekazu elektronicznego, pisma i druku. Książka tego nowego typu może wyglądać tak, jak książki dawniejsze, nie muszą być do niej dołączone nagranie czy taśma, niemniej nie brzmi ani nie działa w ten sam sposób.

Niedawno przeprowadzono ze mną wywiad dla takiej mówionej książki. Promotor owej książki, czy też kierownik produkcji, jak moglibyśmy go określić — nie jest autorem ani też nie jestem nim ja; nie ma tu żadnego autora w jakimkolwiek wcześniej przyjętym sensie tego słowa — najpierw zadzwonił do mnie do St. Louis z Nowego Jorku, by umówić się na wywiad w Bethlehem w Pensylwanii. Na to spotkanie przywiózł ze sobą magnetofon i nagrał moje odpowiedzi na pytania, które mi zadał. Następnie wziął ze sobą taśmę do hotelu w Bethlehem, gdzie przenocował, by wrócić następnego ranka z dodatkowymi pytaniami mającymi uzupełnić wywiad i tę rozmowę również nagrał. Zabrał wszystkie nagrania z powrotem do Brooklynu i dał je do przepisania na maszynie. Oczywiście osoba dokonująca zapisu z nagrania poddała ten materiał przy przepisywaniu lekkim zabiegom redakcyjnym. Promotor czy kierownik produkcji wprowadził do owego zapisu swoje poprawki redakcyjne, po czym przesłał go mnie do dalszego opracowania. Gdy po pewnych przeróbkach odesłałem mu materiał, zadzwonił do mnie z Nowego Jorku do St. Louis i znowu, tym razem przez telefon, nagrał moje odpowiedzi na dodatkowe pytania, które przysły mu na myśl po owych dwu czy trzech modyfikacjach. Następnie dał to dodatkowe nagranie do przepisania, opracował redakcyjnie, wprowadził do przejrzanego maszynopisu i przesłał mi całość do dalszych poprawek. Co właściwie otrzymujemy, kiedy książka ta wychodzi? „Książka” przedstawiona zostaje jako wywiad, z jego pytaniami i moimi odpowiedziami. W istocie jednak całość jest czymś, czego nie powiedział żaden z nas i żaden z nas nigdy nie napisał. Nie dysponujemy żadnym gotowym terminem czy bez trudu nasuwającym się pojęciem na określenie czegoś takiego. Moglibyśmy chyba nazwać rezultat końcowy „prezentacją” czy „wytworem”. Książki w coraz większym stopniu są tego rodzaju „wytworami”. W coraz większym stopniu są też nimi „artykuły” w periodykach i gazetach.

Dobrym przykładem są książki z dziedziny historii. Historia w naszym rozumieniu tego słowa stała się możliwa dzięki pismu. Obecnie jednak historycy zajmujący się wszystkimi okresami po 1900 r. będą musieli się liczyć z historią ustną. Przeprowadzanie wywiadów w celu zdobycia historycznej informacji czy czegoś możliwie do niej zbliżonego od tych, którzy są w stanie cofnąć się pamięcią do wydarzeń, jakie nastąpiły za ich życia, stało się jednym z głównych przedsięwzięć akademickich od czasu, gdy około r. 1948 Allan Nevins rozpoczął w Uniwersytecie Kolumbii poważne prace w tym kierunku. Historia ustna nie jest oczywiście wierniejsza niż historia pisana. Nie jest też zupełnie taka sama. Przynosi nie tylko uściślenia, ale także cały nowy zbiór problemów dotyczących nowego rodzaju nieścisłości. Wskazywano, że to, co dają badaczowi ustne wspomnienia, to najczęściej nie tyle niepodważalne fakty, ile jedynie pewne „niewiarygodne poczucie bezpośredniego kontaktu” z historią. Historia pisana z „niewiarygodnym poczuciem bezpośredniego kontaktu” niewątpliwie będzie czymś szczególnym — może nawet będzie niewiarygodnie prawdziwa. Jedno jednak jest pewne, a mianowicie to, że ustna historia będzie również żywo oddziaływać na pisanie (maszynopisanie) i druk oraz sama podlegać będzie ich oddziaływaniu. The Oral History Association (Stowarzyszenie Historii Ustnej) nie jest pewne, jakie powinno być to wzajemne oddziaływanie, ani jak nim kierować, o czym dobitnie świadczą wypowiedzi jego członków na Czwartym Krajowym Kolokwium, które odbyło się w dniach 7—10 X 1969 w Warrenton w Wirginii¹.

Wzajemne oddziaływanie między środkami przekazu jest zatem silne. Mówienie, pisanie i drukowanie nie tylko trwają dalej, ale też każde z nich uprawia się, świadomie odwołując się do pozostałych. Kiedy w opisanym wyżej wywiadzie „kierownik produkcji” zadawał mi pytania, a ja odpowiadałem, obaj wiedzieliśmy, że to, co mówimy, będzie nagrane, opracowane, przerobione w toku zapisywania, w końcu zaś wydrukowane. Utrwalona elektronicznie wypowiedź ustna nastawiona była na maszynę do pisania, skreślenia i linotyp. Rozmawialiśmy z myślą nie o po prostu dobrej pogawędce, lecz o dobrej publikacji. Paradoksalnie jednak chcieliśmy, by ostateczna forma wydrukowana stwarzała takie wrażenie, jak gdyby wytwór ten nie był wcale drukiem, lecz prywatną rozmową. Prowadziliśmy rozmowę w taki sposób, by publikacja nie sprawiała wrażenia opracowanej redakcyjnie i wydrukowanej, wiedząc, że jedynym sposobem, by tego dokonać, jest bardzo staranne jej opracowanie przed oddaniem do druku.

Aby zawikłać sytuację jeszcze bardziej, komentowaliśmy ten stan rzeczy w samym wywiadzie. Podczas nagrywania naszej rozmowy kie-

¹ Zob. W. B. Pickett, *The Fourth National Colloquium on Oral History*, „Historical Methods Newsletter” (University of Pittsburgh) 1970, nr 3, s. 24—27.

rownik produkcji zwrócił się do mnie z uwagą, że nie stwarzamy wrażenia, jakobyśmy rozmawiali z sobą prywatnie. „Dlaczego mielibyśmy stwarzać takie wrażenie?” — odparłem. „Nie rozmawiamy prywatnie”. Jakże miałbym wierzyć, że komunikuję się z jednym tylko człowiekiem, gdy zarówno on, jak i ja, mieliśmy nadzieję, że komunikuję się z dziesiątkami tysięcy? Co więcej, komunikowałem się z dziesiątkami tysięcy właśnie zachowując się tak, jakbym porozumiewał się tylko z jednym człowiekiem. Był to skuteczny sposób osiągnięcia naszego celu. Wszystko to przypominało Paragraf 23². W istocie był to Paragraf 24, gdyż tej wymiany zdań nie pozostawiono w takiej formie, w jakiej przebiegała w rzeczywistości, lecz poddano ją retuszom po to, by ukazała się drukiem.

Można by dowodzić, że paradoksy, jakie wchodzą tu w grę, są nie większe niż w wypadku wszelkiego pisania, pisząc bowiem zwykle komunikujemy się z publicznością, która musi być nieobecna wtedy, gdy się z nią komunikujemy (a tym samym udajemy, że jest ona obecna). Dla pisarzy odbiorcy zawsze są i muszą być pewną fikcją. Niemniej w tej nowej mieszaninie wypowiedzi ustnej, pisania i druku, jaką umożliwiła elektronika, wszystkie te paradoksy stały się bardziej skomplikowane. Żadna forma literacka czy procesy myślowe będące takim skrzyżowaniem różnych rzeczy, jak to, którym się posłużyliśmy, nie były możliwe, zanim stało się możliwe nagranie mówiącego głosu dla bezpośredniego wytwarzania dźwięku.

Środki elektroniczne wcale nie prowadzą do likwidacji książek; przeciwnie, przyczyniają się do szybszego produkowania większej ich ilości. Zarazem jednak wytwarzają książki odmienne, nie będące „książkami” w dawnym sensie tego słowa. Taka bezautorska, nie napisana książka brzmi zupełnie inaczej niż inne, ponieważ, jak widzieliśmy, głosy tych, którzy w niej przemawiają, ulegają załamaniu poprzez wszelkiego rodzaju nowe konwencje.

Ponadto pojawienie się tego nowego typu książki z pewnością odbije się na książce dawnego typu, którą zgodnie z wcześniejszym zwyczajem tworzy jeden autor z piórem w ręku lub przy maszynie do pisania. Kiedy bowiem autor dawnego pokroju raz już przeczyta taki ustnie przygotowany produkt, jego nowe brzmienie pozostanie mu w uchu. I można być pewnym, że przy sposobności spróbuje, świadomie bądź nieświadomie, dorównać niektórym z jego swoistych efektów.

² [Aluzja do tytułu słynnej powieści Josepha Hellera, *Paragraf 22*. Oryginalny tytuł powieści, *Catch-22* (bardzo niefortunnie przełożony na polski przez Lecha Jęczyńskiego jako *Paragraf 22*, co zupełnie przeinacza jego sens, bliższy raczej „chwytowi”), wszedł na stałe do potocznej angielszczyzny na oznaczenie absurdalnych utrudnień, których nie da się uniknąć, nie istniejących formalnie, lecz obowiązujących praw typu błędnego koła. — Przypis tłum.]

Widzimy tu całą złożoność wzajemnego oddziaływania na siebie środków w miarę rozwijania się coraz to nowych. Widzieliśmy już, że nowy środek ugruntowuje środki wcześniejsze przez ich zasadnicze przekształcenie czy, jeśli kto woli, zasadniczo je przekształca przez ich ugruntowywanie. Obecnie widzimy, że przekształcenie to dokonuje się częściowo wskutek sprzężenia zwrotnego, w jakie nowy środek wchodzi z dawnymi, nadając im nowy posmak. Konwencjonalnie wyprodukowana książka może teraz do pewnego stopnia przypominać książkę zaprogramowaną ustnie.

Takie wzory ugruntowywania i przekształcania występują w werbalnych środkach przekazu — bo do tych tylko się tutaj ograniczamy — od samego początku. Gdy zaczęto pisać, na pewno nie przestano przez to mówić. Pismo to produkt urbanizacji. Wytworzyli je ludzie zamieszkujący gęsto zaludnione osady, którzy niewątpliwie rozmawiali częściej niż rozproszona ludność wsi. Z chwilą gdy mieli już pismo, skłaniało ich ono do tego, by więcej rozmawiać, już choćby dlatego, że więcej było teraz tematów do rozmowy.

Pismo nie tylko jednak zachęcało do mówienia, ono także mowę zmieniło. Gdy już pismo ustanowiło się na dobre, mówienie przestało być tym, czym było przedtem. Mając pismo, można było ułożyć traktat naukowy — coś takiego np. jak *Retoryka* Arystotelesa, rozprawę o sztuce przekonywania. Przed pojawieniem się pisma wiele było osób biegłych w tej sztuce, nie było jednak żadnego naukowego ujęcia tego przedmiotu. Jakże mogłoby powstać coś w rodzaju *Retoryki* Arystotelesa w kulturze wyłącznie ustnej? Albo, by zilustrować tę kwestię na przedmiocie innym niż dyskurs, jakże mogłoby powstać jakikolwiek systematyczny traktat o polowaniu w kulturze wyłącznie ustnej? Nikt nie potrafiłby uporządkować myśli w takie ciągi, na jakie pozwalają książki.

Jedynym sposobem, w jaki podobne ciągi myślowe mogłyby się były zrodzić w kulturze ustnej, byłoby wyrecytowanie, rozdział po rozdziale, od początku do końca, całej *Retoryki* lub rozprawy o polowaniu przez kogoś nie znającego pisma ani nawet takiej możliwości, kto układałby je w toku recytacji. Taki wyczyn jest wszakże niemożliwy. Najbardziej zbliżoną do systematycznej rozprawy formą w kulturze ustnej może być nianie łańcuchów aforyzmów: Kto raniej wstał, dalej zaszedł. Nie wszystko złoto, co się świeci. Kto się waha, nie ma nic.

Oznacza to, że chociaż krasomówstwo liczyło sobie dziesiątki tysięcy lat, tego rodzaju myślenia o krasomówstwie, jakie występuje w *Retoryce* Arystotelesa, nigdy przed powstaniem pisma nie uprawiano. Nigdy przedtem umysł ludzki nie dokonywał tylu kolejnych posunięć, składających się na pewien ciąg, nigdy nie nakreślił tego rodzaju trajektorii myśli. Z chwilą jednak, gdy stworzyło się, za pomocą pisma, takie traktaty jak *Retoryka* Arystotelesa czy *Państwo* Platona, ów typ myślenia i ekspresji zapadł w pamięć. Odtąd można było mówić poniekąd tak, jak

gdyby odczytywało się na głos coś, co mogło, jako całość, zostać ułożone jedynie w piśmie. Co więcej, było się odtąd zobowiązanym często, a może nawet zawsze, mówić po trosze tak, jakby się pisało, w przeciwnym bowiem wypadku nie uchodziłoby się za człowieka wykształconego. Oczekiwano — tak jak teraz oczekuje się od nas — że mowa będzie zabarwiona sposobem, w jaki się pisze czy w jaki pisać można. Po pojawieniu się pisma mowa musiała brzmieć „piśmiennie”, a musimy pamiętać, że „piśmienny” znaczy „znający pismo”, czyli post-oralny.

Innymi słowy, po pojawieniu się pisma mowa ustna nigdy już nie była taka jak przedtem. Z jednej strony wyszło to jej na dobre; przy mówieniu umysł ludzki mógł dokonywać tego rodzaju posunięć, jakich ludzie nauczyli się dzięki posługiwaniu się pismem. Ponadto można było używać — i używano — pisma do robienia notatek, by dopomóc swej mowie. Z drugiej jednak strony mowa ustna wyszła na tym źle, odtąd musiała bowiem stale rywalizować z pisaniem. Nie była już sobą — nie stanowiła już samowystarczającej, zamkniętej w sobie całości. Ludzie zdali sobie sprawę, że w dziedzinie słowa jest wiele rzeczy, które można osiągnąć w pisaniu, a których ustnie osiągnąć się nie da. Wypowiedź ustna nie monopolizowała już dziedziny słowa.

Podobna sytuacja powstała wraz z wynalezieniem druku, a zwłaszcza druku z ruchomych czcionek alfabetu. Druk ugruntował pismo; sprawił, że niezbędna stała się powszechna piśmiennosc, tzn. sprawił, że praktycznie każdy musiał umieć pisać, czyli posługiwać się tym wcześniejszym środkiem. Jednakże druk również przekształcił piśmiennictwo. Pisarze pisali teraz o innych rzeczach i w inny sposób. Druk umożliwił ścisłą kontrolę nad pozycją każdego poszczególnego elementu, kontrolę, jakiej niepodobna było osiągnąć w piśmie. Po raz pierwszy nauczyciel mógł stanąć przed klasą i powiedzieć: „Wszyscy otworzą na stronie 84, piąty wers od góry, trzeci wyraz od lewej” i każdy mógł ten wyraz znaleźć. W kulturze rękopiśmiennej wszyscy uczniowie mogli mieć rękopisy, ale trzeba by było wymówić dane słowo i czekać aż je zlokalizują, ponieważ praktycznie w każdym rękopisie znajdowałoby się ono w innym miejscu, na innej stronie.

Druk sprawił, że książki wszystko ustawiają, w sensie dosłownym, w ściśle określonym porządku i w tej sytuacji ważne stają się indeksy. Opatrywanie w indeksy rękopisów nie było w gruncie rzeczy warte zachodu, jako że zazwyczaj każdy rękopis wymagałby osobnego indeksu; kiedy jednak ma się 5000 egzemplarzy jakiejś książki, w których wszystko jest dokładnie w tym samym miejscu, dokładnie na tej samej stronie, jeden indeks wystarczy dla wszystkich. W takich warunkach indeks staje się powszechnie przyjętym środkiem odnajdywania potrzebnej informacji. Książkę uważa się obecnie raczej za coś w rodzaju pojemnika, w którym „rzeczy” są starannie uporządkowane, niż za głos przemawiający do czytelnika. Średniowieczne i wczesnorenesansowe zbiory senten-

cji stopniowo ustępują miejsca nowemu typowi encyklopedii wyliczającej „fakty”, które traktuje się zazwyczaj jako przedmioty fizyczne dostępne bez żadnego odwoływania się do werbalizacji — czym „fakty” nigdy w istocie nie są.

Subtelne, lecz nieodparte oddziaływanie druku przejawiało się w rosnącym przekonaniu, że to, co się napisało, znajdzie się ostatecznie w jakimś określonym, niezmiennym miejscu. Wydaje się, że fakt ten wpłynął na to, co nazywamy „strukturą” fabuły. Nie wszystkie działające tu siły są dla nas całkiem jasne, pewne jest jednak, że aż do wynalezienia druku nie było żadnych rozbudowanych opowieści prozą, których fabuły byłyby zorganizowane równie spójnie jak fabuły dramatów od czasów starożytnych Greków. Dramat bowiem na długo przedtem przestał być historią „opowiadaną”. Po pierwsze, był nie narracją, lecz akcją. Po wtóre zaś podlegał kontroli, jaką sprawowało pismo już w czasach starożytnej Grecji — był pierwszym gatunkiem werbalnym poddanym takiej kontroli (nie był nim nawet list, często formułowany ustnie, a dopiero potem zapisywany). Toteż dramat na długo przed rozbudowaną narracją prozą rozwinął spójną strukturę linearną, w której konflikt narastał aż do punktu kulminacyjnego, by zostać rozstrzygnięty w rozwiązaniu akcji. Narracja prozą, mniej więcej aż do epoki romantyzmu, nawet w tak wysoce zorganizowanym i późnym wytworze jak *Tom Jones*, zawsze pozostawała w dużej mierze epizodyczna, w przeciwieństwie np. do noweli takiej, jaką stworzył E. A. Poe, lub powieści takiego typu jak powieść Thomasa Hardy’ego. Oznacza to, że jeszcze w kulturze rękopiśmiennej opowieści prozą nadal uważano za „opowiadane”, a nie za ułożone w formie pisanej. Często powracające zwroty do „drogiego czytelnika” wskazują, że w. XIX też był wciąż jeszcze aż nazbyt świadom przedstawiania się z publiczności słuchającej jakiejś historii na czytelników przyswajających ją za pośrednictwem wzroku. Gdzieś głęboko w podświadomości niezmiennosc, jaką sugeruje druk, nie daje się pogodzić z luźniejszą strukturą płynnej sytuacji narrator—publiczność, w której „opowieści” były zazwyczaj „opowiadane”. „Drogi czytelnik” łagodzi to napięcie lub przynajmniej ma je łagodzić.

To właśnie owa niezmiennosc druku leży u podłoża kompozycji *Finnegans Wake* Joyce’a. Stworzenie dwu całkowicie wiernych kopii rękopiśmiennych *Finnegans Wake* jest praktycznie niemożliwe. W dziele o tysiącach słów będących kontaminacjami wielu różnych słów i obfitującym w inne twory właściwe tylko Joyce’owi każda pojedyncza litera wymaga oddzielnej kontroli, czego w zasadzie nie sposób osiągnąć w licznych kopiach rękopiśmiennych. Oznacza to oczywiście, że ostateczny kształt tego dzieła — tak jak większości dzieł obecnie ukazujących się drukiem — zostaje nadany w korekcie drukarskiej.

Kiedy już pozna się tego rodzaju panowanie nad dyskursem, jakie umożliwia druk, wrażliwość na to wpływa także na pisanie, nawet w ta-

kich dziedzinach jak nasza prywatna korespondencja. Widać, że listy Aleksandra Pope'a to listy pisane przez człowieka, który znał drukowaną książkę, nie są natomiast takimi listami listy Cycerona. Te ostatnie wydają się przede wszystkim o wiele bardziej oratorskie: czytelnik traktowany jest tu jak ktoś, kto słucha, do kogo trafia się za pomocą mowy. Widać także, że na moją i twoją mowę głęboki wpływ wywarły tak pismo, jak i druk. Bada Venerabilis czy Geoffrey Chaucer w żaden sposób nie mogliby mówić tak, jak mówimy tutaj. Nie mogliby tak mówić zresztą również ani Thomas More, ani John Milton, ani senator Everett Dirksen — na tych ludzi druk jeszcze nie w pełni oddziałał.

Tak więc i obecnie, i w przyszłości, w miarę osvajania się z elektronicznymi środkami przekazu, przekonujemy się i będziemy się przekonywać, że niczego one nie zniosły, lecz po prostu wszystko nieskończenie skomplikowały. Wciąż jeszcze rozmawiamy twarzą w twarz, tak jak nadal piszemy i drukujemy. Środki elektroniczne ugruntowały druk. Jednym z podstawowych produktów komputera jest wydruk. Jeśli zaś kojarzymy druk z dokładnym umiejscowieniem i przestrzenią, z „linearnością” czy „sekwencyjnością”, nie ma na świecie bardziej linearnego czy sekwencyjnego instrumentu niż komputer, czy to cyfrowy, czy analogowy. Jeśli wydaje się, że działa on niemal natychmiast, to tylko dlatego, że przebiega przez sekwencje z błyskawiczną szybkością, a tym samym przebiega ich więcej, niż było to możliwe kiedykolwiek przedtem. Po drugie, tak samo jak wtedy, gdy wykroczone poza pismo, przechodząc do druku, konieczne stało się to, by prawie każdy nauczył się pisać, tak teraz, gdy wyszliśmy poza druk, przechodząc do elektroniki, konieczne staje się to, by niemal każdy umiał drukować, tzn. posługiwać się maszyną do pisania, co stanowi pewną formę drukowania (składania liter z istniejących uprzednio czcionek). Ponadto elektronika nadaje obecnie nowe formy nawet temu, co dotąd przywykliśmy uważać za „zwyczajną” typografię. Fotoskład zastępuje skład linotypowy.

I wreszcie nowy środek przekształca nie tylko ten, który go bezpośrednio poprzedza, ale często także wszystkie poprzedzające go w przeszłości. Tak więc nadal uprawiamy krasomówstwo, tak jak to czynili mówcy przed powstaniem pisma i druku, jednakże nasze krasomówstwo uległo całkowitemu przekształceniu zarówno pod wpływem pisma i druku, jak i pod wpływem naszego nowego, elektronicznego, typu wypowiedzi ustnej. W telewizji przemawiamy publicznie, aby dotrzeć do milionów ludzi, lecz starając się dotrzeć do każdego z nich tak, jak gdybyśmy odbywali z nim czy z nią rozmowę twarzą w twarz. Nasze przemawianie publiczne jest obecnie mówieniem prywatnym. Senator Dirksen był jednym z ostatnich przedstawicieli wymierającego gatunku.

Gdy chodzi o środki przekazu, to — podobnie jak w wypadku tylu innych rzeczy — żyjemy w epoce, gdy wszystko toczy się naraz. Oznacza to, że wszystkie stare środki są wciąż wokół nas. Działają bardziej

niestrudzenie niż kiedykolwiek. Wytwarzają jednak także rzeczy, których nigdy przedtem nie wytwarzały. Musimy więc inaczej interpretować środki zarówno stare, jak i nowe. Nikt nigdy nie zrozumie, czym jest dzisiaj druk, jeśli myśli o nim jedynie w kategoriach Gutenberga czy Addisona i Steele'a bądź Matthew Arnolda.

Czy aby dobrze zrozumieliście, o co chodzi? Jak myślicie, jak powstał niniejszy tekst?

Przełożyła Maria Bożenna Fedewicz